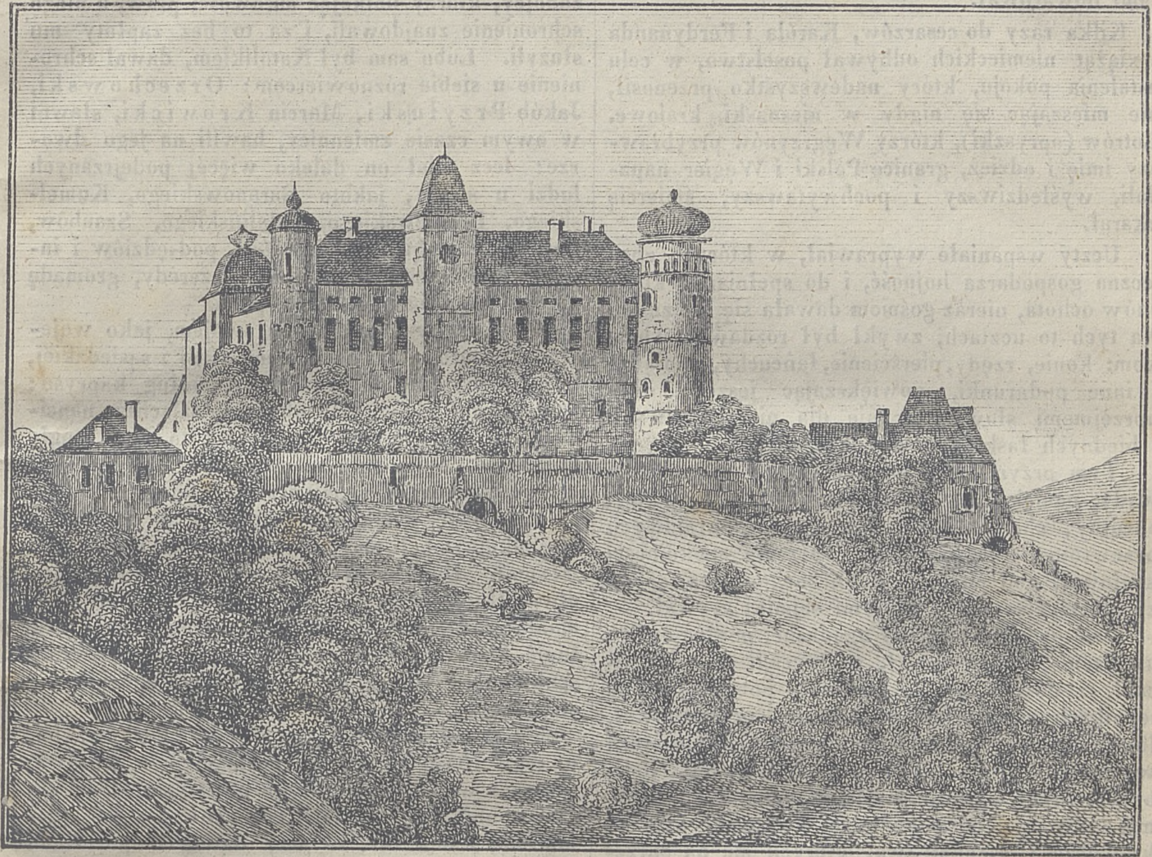
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 2.** Leszno, dnia 15. Lipca 1837.



Wiśnicz.

Wiśnicz, zamek o milę od Bochni, sławny jako gniazdo możnéj niegdyś familii Kmitów, w którym ostatni jéj potomek, Piotr Kmita, wojewoda krakowski, mieszkał, i uczonym przytułek dawał: tutaj także dla zatarcia dawnych niechęci, zaraz po koronacyi króla Zygmunta Augusta i królowéj Barbary, zmieniwszy nagle swe zdanie, podejmował króla i młodą nadobną królowę w swym zamku, i wspaniałe przez dni kilka dawał uczty. Ten Piotr Kmita, senator i Marszałek W. Kor., ważny na sprawy publiczne wpływ wywierał; na nim familia płci męzkiéj wygasła: życie jego opisał bezimiennie pisarz współczesny, *) które w krótkiéj osnowie w języku ojczystym naszym podajemy czytelnikom.

Piotr Kmita z Wiśnicza, ostatni z rodu Śreniawitów potomek, zrodzony z ojca Stanisława i matki Katarzyny z Tarnowskich, pierwsze lata młodości najprzód na nauce w Niemczech, późniéj na dworze Maxymiliana cesarza, dla nauczenia się języka i wyćwiczenia w sztuce wojennéj, przepędził: zkąd na dwór Zygmunta I. króla przeniósł się. A ponieważ celował pomiędzy wszystkimi piękną ciała postawą i umysłu bystrością, marszałkiem dworu uczyniony, późniéj został Marszałkiem W. Kor., wojewodą sandomirskim, a nakoniec krakowskim.

Zawczasu umiał sobie Kmita ujmować serca szlachty, poważał mężnych, kochał uczonych, dla przyjaciół wylany, dla nieprzyjaciół straszny,

*) Vita Petri Kmithae: razem z pismami *Orzechowskiego* wydane w Dobromilu r. 1611, lecz podobno nie jego pióra, ale *Stan. Górskiego*, kanonika i sekretarza króla Zygmunta Igo.

uległym chętnie winy przebaczał i dobrodziéjstwy ich sobie ujmował. Religii swych przodków wiernym pozostał, i dał tego dowody, wznosząc w Wiśniczu murowany kościół, który pięknie przyozdobił i potrzebnemi obdarzył fundacyami. On także w Wiśniczu zamek odbudował i ozdobił różnemi malaturami, zwłaszcza przodków i królów polskich obrazami, nadto wieżami i działami obwarował.

Kilka razy do cesarzów, Karóla i Ferdynanda i xiążąt niemieckich odbywał poselstwo, w celu ustalenia pokoju, który nadewszystko przenosił, nie mieszając się nigdy w niesnaski krajowe. Łotrów (opryszki), którzy Węgrzynów przybrawszy imię i odzież, granice Polski i Węgier napadali, wyśledziwszy i pochwytawszy, śmiercią ukarał.

Uczty wspaniałe wyprawiał, w których zbyteczna gospodarza hojność, i do spełniania kielichów ochota, nieraz gościom dawała się we znaki. Na tych to ucztach, zwykł był rozdawać wojakom: konie, rzędy, pierścienie, łańcuchy, pieniądze i inne podarunki, powiększając jeszcze dary uprzejmemi słowy: równie dla nieszczęśliwych i biednych łaskawym się okazywał.

Tym przymiotom wyrównywały niepospolite wady, poniekąd je przechodziły: umysł mściwy, okrutny, chciwość dostatków, praw krajowych przewrotne tłumaczenie, i burzenie spokojności krajowéj, pod pozorem publicznego dobra, spiski ze źle myślącymi, z którymi sejmiki zrywał.

Dziesięciny i jurgielty ugodzone, podług swego uwidzenia, zatrzymywał, wierzycieli swoich dręczył, żydów z piérza odzierał, pobudzając na sejmikach przeciwko nim szlachtę, prześladował, łupił, i różnemi sposobami umiał z nich pieniądze wyciągać. Również kupcy krakowscy lichą opiekę drogo opłacać musieli: on wniósł na sejmie, aby żydów z państwa wyrzucić, a to za kradzieże i oszukaństwa, których się na chrześcianach dopuszczać mieli. Żydzi przestraszeni zewsząd znosili kubany. Podobnymże sposobem miasto Krakow uciskał i ssał, przedając formalnie urzędy miéjskie, bez względu na zdatność i cnotę: cnotliwi zaś i zacni mieszczanie usuwali się powoli od steru; widzący tak chytre frymarki, nie chcieli ze złymi siedzieć w radzie. Na senacie krakowskim wymógł to groźbą, to pochlebstwy, różne drogie podarunki, jako to: złoto, srebro, łańcuchy złote, pieniądze i t. d. Niekiedy pożyczał nawet od nich znaczne summy na wieczne nieoddanie.

Niektórzy bogatsi mieszczanie krakowscy trzymali w zastawie dobra, pożyczywszy na nie pieniędzy szlachcie: na tych Kmita, aby im wydać ich własność, na sejmikach nastawał, że tych nieprawych posiedzicieli, trudniących się kupiectwem, rzemiosłem, a zatém niegodnych posiadania włości, z nich wyrzucono, ponieważ razem ze szlachtą do boju nie stawają w obronie ojczyzny. Mieszczanie zapozwani na sejmiki i przerażeni zarzutami, podarunkami to Kmicie, to gębatszym posłom ofiarowanemi, okupować posiadanie swéj własności musieli. Tak on umiał strzydz biedne owieczki.

Dwór jego cały, dworzanie, słudzy i cała domowa hałastra, była jak najgorsza: cisnęła się bowiem do niego młodzież, szlachta i plebejanie, kłótnicy, junaki, marnotrawcy, a nawet zabójcy, którzy unikając surowości praw, u niego schronienie znajdowali, i za to bez zapłaty mu służyli. Lubo sam był Katolikiem, dawał schronienie u siebie różnowiercom: Orzechowski, Jakób Przyłuski, Marcin Krowicki, sławni w owym czasie zmiennicy, bawili na jego dworze: lecz miał on daleko więcéj podejrzanych ludzi u siebie, jakoto Baranowskiego, Kumelskiego, Broniewskiego, Odolińskiego, Szaubów, Pełków, Dambickich, sędziów, podsędziów i innych rozhukanéj i niesfornéj czeredy, gromadę gotową na skinienie swego pana.

Był on w urzędowaniu swojém, jako wojewoda i starosta tyranem ziemi swéj i sąsiedzkiéj, postępując sobie nieprawnie i podług kaprysu: tyle nabroił złego, tyle uboższéj szlachty nauciskał, iż zdziwić się trzeba, jak to ujść mogło bezkarnie, i dla tego uciemiężenia, bardzo był znienawidzony w ziemi przemyskiéj.

Udawał wielkiego patryotę, a zawsze z niespokojnymi i przeciwnymi królowi stronami trzymał. Dopóki żył kanclerz Tomicki i Szydłowiecki kasztelan Krak., walna i dzielna Zygmunta rada, nie pozwolili dumnemu pankowi, łupić biednego ludu, ani nadwerężać publicznéj spokojności. Lecz po ich zgonie, zmienił się stan rzeczy.

Ten zatém Kmita, na sejmie piotrkowskim, w roku 1534, na którym postanowiono poprawić prawa i wielokrotne uchylić nadużycia, oparł się ze stronnikami swymi tak chwalebnym zamiarom, i dokazał, że przy dawnych pozostano prawach, i do dawniejszego wrócono nieładu i swywoli. Wtedy to rzucono nasienie niezgód, których okropne skutki okazały się następującego roku na sejmie w Krakowie, i w owéj pode Lwowem wołoskiéj wyprawie; za poduszczeniem Bony królowéj, przyszło do otwartych niesnasek. Ta bowiem intrygantka, po śmierci wyżéj wspomnianych mądrych doradzców, przeciągnąwszy zaraz wielką władzę do siebie, biskupstwa, województwa, kasztelaństwa i inne królewskie urzędy przedawać i frymarczyć zaczęła, otwierając przystęp do króla i do urzędów więcéj dającemu. Ona to posunęła na biskupstwo Latalskiego, Gamrata, i tylu innych; ona wielu cudzoziemcom, najgorszych obyczajów, pierwsze w kościele ponadawała dostojeństwa. *)

---

*) Gamrat ten był synem ojca nieszlachcica, lecz który pojąwszy rodu szlacheckiego żonę i nabywszy dobra, uchodził za szlachcica. Był on długi czas marszałkiem Erazma Ciołka, biskupa płockiego, w Rzymie; nie posiadał wprawdzie żadnych nauk, lecz był wysmukłéj

Bunt lwowski, wojną **kokoszą** zwany, był sprawką królowéj i dumnego Kmity, mającego pomiędzy szlachtą wielu stronników. Jakie ztąd dla kraju wyniknęły klęski, wiadomo z dziejów. Król łaskawy, a może już i słaby, nie chciał użyć pomocy, od pogranicznych mocarstw sobie ofiarowanéj, na skrócenie swawoli, i niestety zostawił gorszący przykład na przyszłość. Równie szkodliwym okazał się wpływ Kmity, gdy po śmierci starego Zygmunta, syn jego objąwszy rządy, Barbarę Radziwiłłównę, z którą już był związki małżeńskie zawarł potajemnie, małżonką swoją ogłosił i żądał, aby była koronowaną w Krakowie. Przemogła jednak stałość Zygmunta Augusta i rada Maciejowskiego i Tarnowskiego przeciwko upartym różnowładzom, a Kmita widząc swą bezsilność, tę samą królową, którą tak nienawidził i któréj wyborowi wszelkiemi siłami opierał się, po koronacyi jak najświetniéj przyjmował w zamku swoim Wiśniczu. Umarł w Krakowie roku 1553, mając już lat 76, pochowany w kościele katedralnym; a ponieważ żadnego potomka nie zostawił, ogromny jego majątek poszedł w dom Stadnickich i Barzów, a Wiśnicz dostał się późniéj do rąk Lubomirskich, i ów hetman Lubomirski na pamięć zwycięstwa nad Turkami pod Chocimem, kościół i klasztór Karmelitów tu zmurować kazał.

Wyjątki z różnych dawnych mów weselnych.

(Dalszy ciąg.)

Mowa J. X. Andrzeja Załuskiego, dziękując od brata swego za J. M. Pannę Teressę Witowską, kasztelankę sandomirską.

Nie znał się takowy na wartości rzeczy, albo przyskępszemi od nieba, natury i fortuny uprzywilejowany musiał być faworami, ktokolwiek z tym, bezpieczeństwa niż prawdy bliższym wydał się sekretem: iż nic łacniejszego, jako podziękować. Moi Mościwi państwo! u mnie nic trudniéjszego, jako w takiéj okazyi, przy tak walnych okolicznościach, godnie podziękować. Trwoży niedoświadczoną wymowę obecność tych, których słowa **oraculorum vim** miewały i mają w senacie i całéj ojczyznie. Trudni nieporównana dobrodziéjstwa znamienitość: bo któż nie wie, co to jest dożywotniém przymierzem **Sacramento** oddany przyjaciel. Toć to jest **adjutorium** od Boga samego za rajskim przywilejem ordynowane; to głowy stroskanéj lube wezgłowie, **reclinatorium**; to obéj fortuny nierozdzielny towarzysz. Gubią przy nim cenę świata wszystkiego w jedne zebrane skarby; traci glanc arabskich gór złoto, gasną z słonecznemi promieniami wrodzoną certujące jasnością dyamenty; przy téj zwłaszcza panieńskiéj pulcheryi, któréj wdzięczna twarzy purpura, i liliami zmieszany rumieniec, z poranną zorzą w bezpieczną idzie antagonią; i baśliwe albo zawstydza gracye, albo w jednéj wszystkie wystawia: Ściąga wszystkich podziwienie, owa nad lata układność w obyczajach, niezmyślony statek w postępkach, roztropność w odpowiedziach, cnota w sercu. Owychci to wyniosłych szczepów wyborny, a tuż padający owoc: córka, wnuczka, prawnuczka senatorska; złote złotego drzewa jabłko, w ręku twoich J. W. M. pani kasztelanowa sandomirska dojrzałe, pod któréj pieczołowitém wychowaniem chwalebny wzrost brać, nic innego nie jest, tylko w gniaździe cnót świętych uchować się, a wyborną naturę ozdobniéjszemi codzień wspierać obyczajami. Pewna nadzieja MM. państwo, że kiedy się przez małżeńską ligę rodowitość z rodowitością, starożytność Junoszów z starożytnością Jastrzębiów, sława obojego z przedniéjszemi zpowinowaconego domu, w jedną jakoby latorośl idzie; pewna, mówię, nadzieja, że z niéj, da Bóg, za czasem obfite szczęśliwości wykwitną. Mówić cokolwiek na pochwałę rodzonéj krwi mojéj, nie godzi mi się, ani **pro domo mea** być Tuliuszem. Dosyć na tém, iż chwalebną Junoszów *) pamięć **Avunculus excitat Hector**. Nie ujdzie też oczu i sławy, wrodzona brata, mego JM. pana Łowczego, a domowym i obcym światem polerowana **dexteritas**; który tu, jako ów nie przez jedno morze żeglujący Eneasz, trafi z boskiego wyroku na swoją Lawinią. Znajdzie starowieczny a prześwietny Jastrzębiec **) w domu Junoszy, to jest Jazona polskiego, złote wzajemnych ozdób runo, i z niego proporcyonalne sobie szlacheckie i senatorskie gniazdo uściele; z którego wzlecą, da Bóg, wysoko, i w znamienitą wypierzą się sławę, wspólne obu domów pociechy. Odbiera tedy wdzięcznie z łaski i rąk twoich, J. W. M. pani kasztelanowa sandomirska, to **delicium**, ten drogi klejnot, miłą

---

i dosyć ogromnéj postawy ciała: we Włoszech nauczył się tych intryg i występków, którémi potém wzniósł się i osławił w ojczyznie. Takiego to człowieka, poleconego sobie przez Kmitę, królowa łaskami swemi obsypywać zaczęła, a dawszy mu katedrę przemyską, kanclerzem państwa uczynić chciała, myśląc, że we wszystkiém będzie jéj powolnym, Krzycki także przypadł królowéj do gustu, a to już było dosyć do jego wyniesienia: co Krzycki podyktował, to Gamrat gotów był podpisać. Podburzała więc królowa posłów, aby ci nalegali na króla, iżby Gamrata kanclerzem mianował. Lecz król nie sądząc Gamrata zdolnym do takiéj posady, wzbraniał się i nad spodziewanie mianował na kanclerstwo Choinskiego, biskupa płockiego, którego i naukę głęboką i rozum cenić umiał, a gdy na radzie w senacie marszałek w głos zaczął czytać wolą królewską i konczył temi słowy: „Najjaśniéjszy pan, znając głęboką naukę, wymowę i biegłość, wiarę nieskażoną waszą,“ na te słowa wstał Gamrat, myśląc, że do niego mówiono; król zaś rzekł: „usiądź waszmość, nie do waszmości mowa.“ Usiadł zawstydzony, a marszałek do Choinskiego rzecz prowadził. Królowa rozgniewana, przez kilka dni z królem widzieć się nie chciała.

*) Junosza, herb Załuskich.

**) Jastrzębiec, herb Witowskich.

2



Chapel - gorris.

oblubienicę swoją JM. pan Łowczy Rawski, brat mój, a przy uniżoném podziękowaniu, dożywotnią się wdzięcznością W. M. pani, a już matce swojéj Dobrodziéjce, obliguje. Obaczy niebo, które tę przyjaźń arcanis nodis wiązało; przyzna kto grzeczny, że nie gdzie indziéj ta dama, tylko w złotych Łowczego siatkach, z swoją i swoich pociechą uwięzła. Assekuruje przezemnie W M. pan Łowczy, i przyobiecuje Jejmość pannie tę wiarę, któréj nic nie naruszy; to poszanowanie, które równie z cnoty jak z urodzenia zawołanéj powinien godności; tę miłość, któréj godna, summorum femina voto digna virûm. Co wszystko dożywotnie, przy winnych usługach swoich, nazawsze oświadczać będzie. Mnie nie zostaje nic więcéj, jeno kończyć voto: żebyście młode państwo za przychylnego nieba indultem, przy kwitnących pomyślnościach, godziny różą, momenta lilijami przeplatali. (Koniec nastąpi.)

Chapel-gorris.

Chapel-gorris (Chrystyńskie wojsko); pod tém nazwiskiem znane są w Hiszpanii hufce królowéj, składające się z karlistowskich zbiegów, lub wolontaryuszów powstałych prowincyj, które się wzięły do oręża za sprawę królowéj i są po większéj części z prowincyi Alawy. Pułk ten liczy 400 do 500 ludzi, dowodzony od oficerów z linii. Chapel-gorris składają najlepsze wojsko, biją się jak lwy, lecz nie znają karności; ubiór ich różny. Należeli na ostatku do angielskiéj legii: nie dają, ani nie przyjmują pardonu. W tyle widać miasto Miranda nad Ebrem.

Mądry Macioś.

(Powiastka gminna.)

W pewnéj wsi mieszkał owczarz, który miał trzech synów; dwaj starsi byli mądrzy, a trzeci był głupi i nazywał się Macioś.



Mądry Maciuś.

Trafiło się raz, że owczarz poszedł na jarmark, więc dwaj starsi synowie mieli paść gromadę. Maciuś nie chciał iść w pole, bo zawsze siadywał w piecu, i piekł perki w popiele i spał. Tego jednak dnia zbudzili go matusia w samo południe, i kazali mu zanieść braciom obiad i dali mu dwojaczki; w jednym garnuszku było kwaśne, a w drugim klóski; w torbę włożyła matka pół bochenka chleba i rzekła: „idź Maciuś do owczaryszków, a bądź mądry po drodze!" Usłuchał Maciuś matki i poszedł w pole; ale zaraz na zapłociu miał przechodzić po moście, w którym była dziura; bał się tedy Maciuś, ażeby w nią nie wpadł i nogi niezłamał; bo nogę złamać jest to wielkie głupstwo, a matula kazała mu być mądrym! Poszedł więc do głowy po rozum, dobył z torby pół bochenka chleba i zatkał ową dziurę; potém ją przeskoczył i obejrzał się, czy nie wpadł; a gdy się obejrzał, postrzegł cień swój za sobą; wyląkł się okropnie; bo mu się zdało, że to coś za nim stoi i chce go zjeść. Więc w nogi mój drogi, jak zacznie zmykać przez rowy, przez zagony, aż się za nim kurzyło; ale co się obejrzy, to cień bliżéj niego; co Maciuś prędzéj, to cień téż prędzéj. Więc się téż już wreście zmęczył i stanął, otarł pot z czoła i rzekł do cienia: „jeżeli mnie nie zjesz, to ci dam klósek z okrasą!" i rzucił jednę klóskę za siebie, potém jeszcze jednę, potem trzecią, czwartą: i tak rzucał, póki mu nie zabrakło. A gdy brakło klósek, strach nowy; bo matusia kazali mu **być mądrym**, a to jednak wielkie głupstwo, dać się zjeść! Rzekł tedy Maciuś do cienia: „jak mnie nie zjesz, to ci dam kwaśnego z flaczkami," i wylał jednę łyżkę za siebie, potém drugą, trzecią, póki nie zabrakło. A gdy i kwaśnego brakło, więc na nowo uciekać zaczął, i przybiegł do braci swoich i dał im dwojaczki, które były próżne. „Gdzież strawa niegodziwwcze?" zapytali owczarkowie; a Maciuś pokazał cień swój i rzekł: „oto ten czarny djabeł gonił mnie i chciał mnie zjeść, więc dałem mu klósek i kwaśnego, żeby mnie nie zjadł." Owczarkowie gniewali się bardzo i mówili: „przecie to cień, nie djabeł głupcze!" „A toście mi mogli powiedzieć, rzekł mądry Maciuś, „teraz już nie będę tak głupi."

Cóż potém, kiedy owczarkowie byli głodni. Postanowili zatém iść na obiad do domu, a Maciusiowi kazali paść przez ten czas gromadę, i uczyli go, żeby **strącał** owce do kupy, jak mu się zaczną rozchodzić, i mówili: „paś owce Maciusiu, a bądź mądry."

Maciuś uważał sobie dobrze, co starsi bracia mówili; więc wziął maczugę i zaczął **potrącać** owce, które szły w szkodę, a potrącone znosił na kupę. Jeszcze nie wiele było z południa, a już porządna kupka owiec leżała.

Gdy potém bracia wracali z obiadu, Maciuś wybiegł ku nim i wołał: „patrzcie jak ładnie

pasę wam owce, prawie wszystkie mam w kupie!“ Ale oni poczęli wyrzekać i płakać, bo większa połowa gromady była zabita i mówili: „cóżeś ty nieszczęśliwego zrobił, psie głupcze!“ „A toście mi mogli wprzód powiedzieć,“ rzekł Maciość, „teraz już nie będę taki głupi.“

Nie wiedzieli potém, co czynić; więc im Macioś doradził, aby poodnosić zabite owce do owczarni, zamknąć i umykać do boru, póki tatuś nie wrócą. Zaczęli więc dźwigać owce do owczarni, zawsze po dwie na raz, a Maciosiowi kazali brać po trzy albo po cztery. Kiedy już wszystkie poznosili, zabrali się w drogę i uciekali do boru. Ubiegli też już spory kawał lasu, gdy im się przypomniało, że nie zamknęli owczarni; więc rzekli do Maciosia: „idź ty co tchu nazad, i zamknij wrótnią, żeby jéj nikt nie mógł otworzyć; bo jak zobaczą zabite owce, to nas będą gonić; przynieś téż co do jedzenia.“

Macioś wrócił tedy do wśi, nakradł matce ulężałek i porwał banię z octem; potém poszedł do owczarni, zamknął wierzchnią połowę wrótni, a spodnią wystawił z zawias i wziął na plecy, i myślał sobie: kiedy wrótnią mam na plecach, to jéj nikt nie otworzy. Nie uciekał też bardzo, bo się bał, żeby go kto nie gonił; a gdy przyszedł do braci, podał im wrótnią i rzekł: „możecie sami pilnować, żeby jéj kto nie otworzył.“ A oni mówili: „takiś ty to mądry, psie głupcze; ale poczekaj jeno, kiedyś wrótnią dotąd przyniósł, to ją poniesiesz i daléj!“ „Wrótnią poniosę,“ odpowiedział Macioś, „ulężałki i bania ciężą mi bardzo, więc je powieszę na wrótni, niech ona téż trochę dźwiga.

Jak powiedział, tak zrobił; potém szli znowu wszyscy trzéj głębiéj w gąszcz, a szli póki się nie ściemniło; dopiero w nocy wleźli na wysoką sosnę, aby tam przenocować. Ledwo co się na nią wdrapali, usłyszeli hałas jakiś pod drzewem. Nadeszli tam bowiem ludzie, którzy noszą to, co nie chce chodzić, a znajdują rzeczy, które jeszcze nie były zgubione. Po prostu nazywają ich złodziejami. Wszystkich razem było sześciu, a każdy chłop w chłopa jako dąb. Usiedli oni sobie pod sosną, i zaczęli niecić ogień, a przy ogniu piekli pieczenie. Na sośnie ledwo dychali owczarkowie ze strachu, i pocili się jak myszy; ale Macioś najbardziéj się pocił, bo ciągle trzymał jeszcze na plecach ową wrótnią, która mu bardzo ciężała; jemu się zaś zdało, że to ulężałki tak ciężą; więc rzekł po cichu do starszego brata: „Stachu, Stachu! bo rzucę ulężałki!“ „Nie rzucaj psie głupcze!“ odpowiedział Stach. Ale ulężałki już po gałęziach na dół leciały; więc złodzieje mówili: „nie daleko do rana, bo wiatr mocniéjszy otrząsa szyszki.“

Maciosiowi nie przestała ciężyć wrótnia, a on myślał, że to pewno bania z octem taka ciężka, i rzekł znowu: „Stachu, Stachu! bo puszczę banię!“ Stach nie dał mu puszczać i mówił: „to nas wyda!“ Ale Macioś puścił ją jednak. Na szczęście zawiesiła się bania na gałęziach i tylko ocet się wylał, a rozbity o iglice, spadał kropelkami na ziemię; więc jeden złodziéj rzekł: „nie daleko do rana, bo już rosa pada.“

W ten czas pomyślał sobie Macioś: pewnie to ta wrótnia tak mi ciężay, i puścił ją także, która z wielkiem trzaskiem leciała po gałęziach; złodzieje zaś wołali: „djabeł zlatuje z drzewa!“ i zaczęli zdzierać jak oparzeni. Ale jeden między nimi był kulawy, nie mógł też tak prędko podnieść się ze ziemi, więc drzwi spadły na niego, właśnie wtedy, jak kładł kawał mięsa w gębę, i ucięły mu język. Gonił i on potém za drugimi, i chciał wołać poczekaj, lecz mu się zawsze wymówiło poklekaj, a tym na przodzie zdawało się, że on woła uciekaj! więc jeszcze bardziéj uciekali.

W ten czas dopiero zleźli owczarkowie z drzewa i poczęli dojadać pieczystego; złodzieje bowiem odbiegli w strachu wszystkiego, nawet dwóch miechów pieniędzy, które owczarkowie zabrali do domu, aby niemi zapłacić szkodę za owce; i wrócili do domu, i zapłacili tę szkodę, i zostało im się jeszcze półtora miecha pieniędzy. Więc za nie kupili sobie dom i suknie z bławatnych materyj i jedwabne chusteczki. Maciosia téż ubrali we frak paryzki, i w świecące trzewiki i pończochy, jakby babę; ale on zawsze sobie był Maciosiem, i zawsze piekł perki w popiele, a może jeszcze piecze.

Do Redakcyi Przyjaciela Ludu.

Przy rozpoczęciu roku czwartego Przyjaciela Ludu, przesełam Panu od dawna już zapowiedziany artykuł o Janie Kochanowskim; a jeżelim w trzech poprzedzających latach do wspólnéj pracy, mojéj nie przyłożył ręki, pochodziło to z trwożliwości jakiéjś wystąpienia w zawodzie literackim, tudzież z przekonania, że nim ktoś tworzyć i działać zacznie, obéjrzeć się najpierwéj powinien, czyli téż już pojmować obce rzeczy umiał. Wprzód się zoryentować należy w tém, co uczyniono, co już posiadamy, nim myśli własne objawiać zaczniemy. Odważając się tą razą wystąpić na pole, dalekim jestem od zarozumiałości, jakobym mógł zabrać głos decydujący: ogłaszam tylko to, co mi się zdaje, żem pojął. Cieszyłbym się, gdyby ktoś pojął inaczéj, lepiéj; gdyby mię nawet, mówiąc po prostu, z błotem zmieszał; bo chęć moja byłaby spełniona, którą tyle już razy oświadczyłem, aby życie jakieś obudzić literackie.

Berlin dnia 2go Lipca 1837 r.

H. C...

O Janie Kochanowskim, jako poecie lirycznym, i jego stósunku do wieku szesnastego.

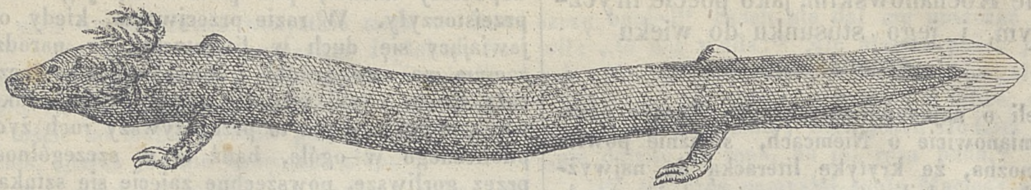
Jeżeli o najucywilizowańszych Europy narodach, mianowicie o Niemcach, słusznie powiedzieć można, że krytykę literacką do najwyższego doprowadzili stopnia, owszem, że przedmioty téjże krytyki na atomiczne rozbili cząstki, i wyczerpnąwszy rzeczy istotę, dowcip swój na błahych zaostrzali drobiazgach i po dziś dzień jeszcze zaostrzają; z żalem Polacy poza siebie obéjrzeć się powinni, i wstydem prawie zapłonąć na widok, jak daleko dotąd, pomimo bogactwa ich literatury, w tyle pozostali, już nie mówię w krytycznem sądzeniu dzieł swoich, ale nawet w ich rozumieniu. Wszakże krytyczne to dzieł literackich zgłębianie, bynajmniéj nie jest rzeczą tak podrzędną, nie jest ono tak błahą miarą postępu i oświaty narodu, jakby się może na pierwszy rzut oka zdawać komu mogło. Jeśli bowiem genialne płody sztuk i umiejętności chlubnym są dowodem, że naród, albo część jego lepsza, do piękniéjszego zdolną jest bytu; to z drugiéj strony krytyczne opracowanie historyi literatury i pojedyńczych jéj gałęzi, oznaką jest, że naród cały nie zostaje poza obrębem tych płodów, że one zna jako swoje, że się w nich widzi, że geniusze w tym lub owym występujące czasie, są tylko punktem kulminacyjnym, są reprezentantami tego, co naród myśli, co życia jego jest treścią; naturalnym będzie, lubo nie bardzo pochlebnym, wniosek przeciwny, to jest: że brak krytycznego pojęcia dzieł literatury, tak pojedyńczo wziętych, jako też w stósunku do całych okresów, zawsze jeszcze podéjrzenie może obudzać, jakoby gienialni pisarze byli tylko przesadzeniem niejako sił ogólnych, wyskokiem z życia narodu, nie będąc cząstką jego integralną, ani też koniecznym jego wypływem. Upokorzającym, lubo sprawiedliwym, będzie natenczas zarzut, że naród cały w swoich grzebiąc skarbach, w licznych przebierając bibliotekach, czczym tylko jest widzem, czytelnikiem, własnych swych nie zna płodów, albo, co gorsza, fałszywie je pojmuje, dziecięcia tylko zwyczajem nad sztuki pięknemi dziełami bawi się i raduje, bez wewnętrznego serca i duszy udziału. Dla tego też to epoki w historyi literatury takowego narodu dowolnemi tylko określone są liczbami; nie są zawarte wpośród pewnych momentów, nie są oznaczone i napiętnowane myślami, w pewnych okresach się przebijającemi, ogarniającemi cały życia moralnego przestwór; dla tego to przy jakiémkolwiek mniéj ważném, mniéj pomyślném zdarzeniu, upadek takiéj literatury łatwym jest, koniecznym; ponieważ wszystkie w sztuce, i umiejętności objawiające się myśli, nie są z wiedzą narodu ściśle spojone, nie wydane siłą własnego ducha, są raczéj kwiatkiem, na obcéj niwie zerwanym, myślami zewnątrz pochwyconemi, które dopadłszy talentu, pod piórem się jego nieco przeistoczyły. W razie przeciwnym, kiedy objawiający się duch w literaturze, w narodzie samym ma swe źródło i mieszkanie; natenczas cały razem naród udział swój w płodach takowych objawia, bądź to przez żywszy ruch życia publicznego w ogóle, bądź to w szczególności przez gorliwsze, powszechne zajęcie się sztuką i umiejętnością, jako też filozoficzném ich pojmowaniem. Występuje naówczas krytyka, na filozofii i estetyce oparta, chwyta nić umysłowego życia i myśli narodu, zgłębia ducha czasu, podciąga wszystkie strony pod jeden ogólny charakter, złe oddziela, wskazuje właściwość autora, należne mu naznaczając miejsce: a tym sposobem okazując, że naród ma uznanie literackiéj swéj dążności, że się widzi w reprezentantach swoich, i myśli ich w żywotne przerabia soki, działa znów odwrotnie na rzeczonych reprezentantów i przyczynia się do postępu oświaty i literatury.

Jakież ztąd zastósowanie do Polski? Ktokolwiek bystrzéjszém w jéj literaturę spojrzy okiem, rezultat jego uwagi nie bardzo będzie pocieszającym. Jakkolwiek bogate jest piśmiennictwo polskie dawnych i nowszych czasów, smutną i oburzającą jest okolicznością, że Polacy mało jeszcze z swych autorów, a może żadnego w właściwém jego nie pojęli stanowisku, i dla tego też żadnéj dotychczas nie mają historyi literatury. Mała liczba krytyków i estetyków, co zasady swego uważania z Horacego lub Boala wyczerpnąwszy teoryi, tym samym łokciem, jak się dobrze ktoś wyraził, wszystkich ze wszystkich wieków pisarzy mierzyć chciała, na bezdróża tylko mogła popadać: przeto też ich sądy zwykle czczemi są sentencyami, ogólnemi modłami, z którėmi pojedynczy autorowie, jak z koranem, albo zgodni byli, albo jemu przeciwni. Pierwiastkowe pieśni ludu, poezye wieku szesnastego, z francuzka wysztafirowani pisarze zeszłego stólecia, wszystko to na jednéj ważone było szali. Ztąd też poszło owo lekceważenie pism dawnych, skoro tylko nowa zabłysła poezya: na wspomnienie klassyka wszyscy odwracali, a wielu dziś jeszcze odwraca oczy, nie znajdując w nich nic godnego czytania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Proteusz (Proteus anguinus).

W bliskości Laibach są dwie groty, pół mili od Adelsberg odległe: w podziemnych wodach tych kanałów, znajdują się (czego w żadnym innéin miejscu na świecie nie natrafiamy) cieliste węgorze (Proteus anguinus;) tutéjsi mieszkańcy zowią je rybą człowieczą, zapewne dla koloru zbliżającego się do cery ludzkiéj i dla płetw, rękom ludzkich nieco podobnych, ponieważ palce mają. Za pomocą tych rąk i nóg, służących mu



Proteusz (Proteus anguinus).

za pletwy, żegluje to zwierzątko z nadzwyczajną szybkością w wodzie. Używa ich także jak nóg do chodzenia na lądzie; jednak ziemia niebezpiecznym jest dla niego żywiołem; albowiem będąc powleczony cały lipką materyą, łatwo przylgnie do ziemi, i ruszyć się nie może. Wyrosły, dochodzi do 15 cali długości. Pierwszą o nim wiadomość podał Dr. Laurenti r. 1768, licząc go do zwierząt ssących, i dał mu to nazwisko, które teraz jeszcze nosi. Zwierzątka te pokazują wielką odrazę od światła, a w czasie upału, wystawione nagle na światło, natychmiast zdychają. Nawet blady promyk dnia, sprawia w nich konwulsye; a przeto usiłują wszelkiemi sposobami skryć się w kąt ciemny. A jednak twierdzili niektórzy uczeni, że one nie widzą. Tymczasem teraz, za pomocą mikroskopu, odkryto na głowie, dwa wyrostki, zamiast oczu. Na wolności Proteusz jest bardzo żarłoczny, żywiąc się małemi rybkami i owadami; schwytany gardzi wszelkiemi pokarmami, lubo i tak dość długo żyje w wodzie, mającéj 8 stopni ciepła podług Reaumura. Wodę co 6ty dzień odlewać trzeba. Równie tkliwy jest na zimno jak na gorąco, gdyż włożywszy kawał lodu w wodę, prawie widocznie usycha i ginie. Uwagi godną jest sympatya, która te zwierzątka pomiędzy sobą łączy: uważają one nowego przybysza jak swego przyjaciela, i okazują to ocieraniem się o niego: bardzo są czułe i łatwo się lękają; bojaźń okazują czerwonym szkarłatnym kolorem około głowy; a ponieważ ich skóra jest przezroczysta, można za pomocą mikroskopu uważać w nich cyrkulacyą krwi w kanałach idących do serca, które się regularnie wzdymają i opadają.

Noc.

Przygasły zorze, ruch życia ustaje,
Szmer tylko głuchy dosłyszeć się daje;
Lecz i ten wkrótce słabiéj się odzywa,
Milknie, i w ciszy zwolna się rozpływa.
Światło xiężyca bladawe i drżące,
Zaciemnia jednak gwiazd świetnych tysiące,
Jakby dumania smętność duszy miła,
Ponęty świata tęsknotą przyćmiła.
Przelotny powiew jak skryte wzruszenie,
Rozwiewa w koło wonne kwiatów plemię;
Tak lekka nieba przejrzysta powłoka,
Że Bóg niejako, widzialnym dla oka,
A ziemia cała pod mglistą osłoną,
Na łonie Jego zdaje się uśpioną.

W téj błogiéj chwili, któż cię bluźnić może!
Któż Cię nie czuje, nie kocha, o Boże!
Światło sumienia w ciemności jaśnieje,
Pełznąułudne marzenia nadzieje,
Więdnie bezbożnych pomyślność zawodna,
Cnota, przeciwnie, wśród zmroku pogodna,
Mdłe obietnice tego życia mija,
I ponad światem do nieba się wzbija!

L. O......ska.

Dwa pługi.

Blisko chatki, przy oborze,
Nie użyty pług rdzewieje;
Drugim codzień chłopek orze,
Skoro na wschodzie zadnieje.
Gdy raz upałem znużony,
W południe rólnik powraca,
A pług, pracą wygładzony,
Szklniącem światłem się ozłaca;
„Chciałbym też wiedzieć dla czego,"
Pyta narzędzie nieżywe,
„Lubośmy z kruszczu jednego,
„Przeznaczenia mamy inne?
„Tyś jest tak świetny i czysty,
„Jam smutny i rdzą zaćmiony!"
„Powód tego oczywisty,"
Rzecze na to zagadniony;
„Rdzewiejesz długiém gnuśnieniem,
„Mój blask z częstego użycia."
Gnuśność jest duszy przyćmieniem,
Użyteczność światłem życia.

L. O.....ska.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)